N° 28.

Bioro Redakcyi przy ulicy Chmielnéj blizko Nowego Świata Nr. 1260D (3 nowy) w Warszawie.

Opiekun Domowy wychodzi raz w tydzień co Środa. — Prenumeratorowie z prowincyi raczą nadsyłać przedpłatę wprost do Redakcyi, a to w celu uniknienia zawodu w odbiorze naszego pisma.



ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa; za przesyłkę kop. 11 1/4, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33 3/4). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda **Hösicka**, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

Warszawa, dnia 30 Czerwca / 12 Lipca 1871 roku.

Z POEMATU

p. t.

DZWONY,

Poświęconego J. S. Jasińskiemu, b. Dyrektorowi Teatrów Warszawskich,

PRZEZ

KAZIMIERĘ MOSCH.

Zmęczoną gwarem powszedniego życia, smutną, senną i rozmarzoną, otuliła mnie noc majowa w swój płaszcz roskosznie pachnący i ukołysawszy słodkim śpiewem swoim, przeniosła po promieniach bladego miesiąca, daleko od domu w głąb' samotnéj puszczy, gdziem prócz jéj ciszy, duszy swéj i Boga, nic po przebudzeniu nie znalazła.

Bóg... jak Bóg ludzi — wydał mi się groźnym Panem stworzenia, starcem o milijonach wieków, z berłem wszechpotęgi w ręku, z godłem wszechwiedzy na czole, z majestatem w słonecznéj twarzy.

Puszcza.. wydała mi się doliną przyprusznoną suchym piaskiem ze srebra, — na skrajach któréj ciemniło się nieruchomą przestrzenią morze, — po nad którą sklepienie niebios migotało tysiącami gwiazd ze złota i wśród któréj ja sama byłam jedyną.. oazą dla boskiego oka w górze.

Dusza moja.. ze snu resztką, co jeszcze ją trzymał w objęciu, — z bólem przeważonym przeszłości, który nosiła w sobie, — z brakiem wrażeń, którego doświadczała zawsze, — ze zmęczeniem swojém, z nudą i z rezygnacyą, wydała mi się jakby spokojnym, ukutym z kamienia posągiem, postawionym przed widomym wzrokiem moim teraz na to, abym śmiertelną głowę swoję o stopy jego roztłukła!



„SĄ MATULA“ KOPIA Z OBRAZU CHEŁMOŃSKIEGO,

z Wystawy Warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. (str. 220).

Przymknęłam oczy i osunęłam się do stóp posągu..

I rozdzielona tak na dwoje: na zmysły, które gorejąca w nich siła życia przepłomieniła w duch czysty i.. na duszę, którą znów boleść

czysto ziemska w twardy i martwy zestudziła kamień, — zaczęłam, niby mumija w zwoje amjantu spowita, martwa ziemską śmiercią, nieskończonością snów niebieskich żywa, wsłuchiwać się w mowę uroczystéj ciszy, do któréj tak nagle noc mnie majowa przeniosła..

I posłyszałam gwar wielki w swéj pustyni, jakby wszystkie płomyki, blaski i cienie, co się krzątały po przestworzu, nawet ziarnka piasku srebrzące się po płaszczyznie, dostały na raz głosu i słowa; jakby myśli moje wszystkie, wyzwoliwszy się z kajdan ciała, z ciasnéj martwoty spokoju, w jakim je trzymała dusza, wystrzeliły odrazu w dowolnym kształcie swoim i z dowolną siłą, ku niebu, — lecąc prześcigały się, spadały i podnosiły znowu.

I po przez gwar ten cały, — jak w sznurze dźwięków nanizanych na jeden ton główny, jak w burzy szmerów, przez które jeden orkan ciągnie, dosłyszałam głos jeden.. przeważny, stanowczy, odrębny od innych, ogromny, że go nie mogło pomieścić moje ucho, choć krótki razem, że czasu nie miałam prawie go schwycić — głos dzwonu.

Uderzał peryodycznie, w wiek, w dwa wieki.. czasem w kilka wieków.. a czasem i w krótszych przestankach. — I echo od niego szło długie, poważne, przeciągłe, przez świat cały — przez górę i przez dół stworzenia,—pomiędzy dnia słońcami i gwiazdami nocy, — przez prożnie pomiędzy niemi niczém niezajęte, — przez czasy wszystkie, co są i były, aż.. marło w nieskończoności!..

I pierwszym obrazem, którym dojrzała roztworzywszy na cały gwar ten oczy, była wielka, nieogarniona, ciemna jak nicość — przepaść. Od wierzchołka gwiazd, co przed chwilą świeciły nademną, aż do głębi saméj ziemi, gdzie niedostawało czucie już moje i dokoła, jak tylko krańce widnokręgu niedawno bieliły,—zanurzył się wzrok mój w prożnię, w któréj niby morska latarnia dla patrzącego z pod wody gdy już tonie, kołysało się małe, jak kropla a jasne jak Bóg sam, światełko..

Coż był ten ognik w morzu nicości?.. Gwar tysiąca głosów, który przed chwilą mówił mi o wszystkiém, i objaśniał wszystko — teraz, jak— gdyby bojąc się sam też zakłócić uroczystéj ciszy przepaści, zapadł gdzieś w jéj bezdeń i zamilkł nagle, a i ja razem, która patrzyłam i dziwiłam się temu co widzę, poczułam wkrótce jakby śmierć we własnych zmysłach — zdrętwienie, co niczém innném nie było, jak tylko także... zupełném z życia zniknięciem.

Prożnia i ja stanęłyśmy za jedno. Jak ona tak i ja nie wiedziałyśmy nic o samych sobie, nie czuły czém jesteśmy.. I wieki całe trwałyśmy już w tym stanie, gdy oto.. głos dzwonu wskrzesił nas nagle.

Ja przez oczy ducha — a ona przez jasne słońca, co ważyć się zaczęły, niby płomienne kule po jéj otchłani, przejrzałyśmy odrazu w nicości własne i poznały czém byłyśmy przed chwilą.

Dzwon pierwszy poszedł w wieki ogłaszać narodzenie—*czucia*..

I świat zaczął istnieć.

I moje myśli wyskoczyły znowu w przestrzeń, żywe i wołające o port wspólny, gdzieby się razem zejść i poznać i zlać w jednę potęgę mogły.. i podobnie jak one wszystkie jasne światy, co krążyły po otchłani, zdawały się nawzajem szeptać do siebie, godzić, ścierać, porozumiewać i cichnąć.. aż przez szmer ten cały, przez tę wrzawę i ciszę w końcu, przeciągnęło znów po wielkim przestanku *dzwonienie*, co oznajmiło duszy mojej narodzenie—*ładu i porządku*.

I *ład* wytworzony ze starcia się wszystkich żywiołów stał się odtąd miarą *piękna* na wieki.. a *porządek* ograniczający ruch tychże żywiołów w otchłani—miarą odwiecznego *rozumu*.

Brakło tylko jeszcze wspólnéj jednéj myśli, coby uznała jedno i drugie,—miarami temi obiema zmierzyła wszystko stworzone, a nawet stwórcę samego.. a zmierzywszy potém równie siebie, rzekła w głos do prożni: „oto pełnią jesteś!“ — inaczej mówiąc, światu brakowało jeszcze *samowiedzy*.

I oto w rozświeconéj tysiącem ogni otchłani, w jednym jéj kącie, — na boku, na czarnéj jakiéjś kuli, która kołysała się jak balon pod słońcem, dojrzałam oczyma duszy obraz, co mnie pierwszą, niezrównaną napełnił roskoszą.

Myśli moje rozstrzelone dotychczas niby błędne ogniki po przepaści, zszedłszy wszystkie razem na kulę ową, wykształtowały się na niéj w dwie prześliczne istoty, dwóm snom podobne, a żywe jednak, bo głos ich i mowę słyszałam wyraźnie zdala,—poruszające się o własnéj sile i przypatrujące sobie nawzajem,—wspaniałe spojrzeniem i wielkie postawą—w ludzi dwoje.

Samowiedzą stworzenia miały być te dwie istoty i świat z ich powstaniem miał dopiero zacząć byt prawdziwy, bo byt o—duszy.

Posłyszałem znowu *dzwonienie*, ale odmienne od wszystkich innych dotychczas, bo.. cała muzyka szczęścia w niém była, melodya dźwięków, w których każdy był osobną roskoszą, a wszystkie grały jakby na chwałę samym sobie, rozlewając się jednakże w powszechném, jedném wspólném poczuciu miłości wszystkiego, co błysnęło dokoła!.. Dzwonienie na narodzenie -*życia*.

I otworzyłam po raz drugi oczy ducha mego na świat już stworzony, potem na Boga, potem na samą siebie.. i trzeźwa potęgą tego nowego wzrostu, dopatrzyłam po przez obszar pustyni, w mgle zaciemnionéj wieków, pierwszą minutę *bytu*, co się objawiła ziemi,—w obrazie pierwszéj ludzkości wyrosłéj z łona owych dwojga ludzi.

Był to mąż wysoki, stojący w pośród obszarów i potrzący się w twarz gwiazdom nieba, co ponad nim rzęsisto płonęły.. Miał ciszę dokoła siebie i starał się czytać w téj ciszy... Mówiła mu ona, że tam ponad gwiazdami, wysoko, precz—precz nad niemi, gdzie tylko już sam ciemny przestwór się szarzy, — mieszka patryarcha świata, co na chęć jednę swoję stworzył te ognie i ziemie i jego samego w końcu, mocarz, z którego ręki błysk i noc, jak dwie równe wole schodzą na ziemię pośród ludzi, by raz targać nimi i ślepić im oczy, inny raz do snu ich kołysać.

I dostrzegłam, jak mąż on pyszny niedawno i dumny, ukorzył się nagle przed grozą odkrycia, które mu własna jego uczyniła tak niespodziewanie mądrość; jak spojrzawszy z trwogą teraz w głębie, w które się przed chwilą patrzył z zuchwalstwem,—pospieszył do tłumów, co czekały na wyroki jego, by się z nimi tą pierwszą, zdobytą przez siebie myślą podzielić.

I nastąpiła tu długa cisza, po któréj zdało mi się słyszeć *dzwon* nowy, co uderzył na przestrzenie, by im oznajmić narodzenie uroczyste—*religii*.

I za tém—nowy widok co stanął przed marzeniem mojém, było to lazurowe, jak samo niebo, morze.. Po jednym jego brzegu bielił się szeroki obszar, przerżnięty smugą kryształowéj rzeki i zastawiony od końca do końca wysokiemi piramidami. Po drugim jaśniał zielony kraniec innéj ziemi.. błyszczącéj, jak na wesele, od słońca i kwiatów, od motyli i latających ptaków, które wszystkie w wesołym gwarze i sznurze, jak dźwięki granéj gdzieś w dali sonaty, w drżącém powietrzu krzątały się, dzwoniły, miłośnie się całując małymi dzióbkami—skrzydełkami barwnemi trzepocąc radośnie..

(Dokończenie nastąpi.)

WIĄZANKA.

Szukałem rozrywki.

Byłem jakiś tęskny, rzewny, zamyślony, nieswój....

Chciałem się koniecznie rozweselić.

Poszedłem do *Doliny Szwajcarskiéj.*

Bilse grał — jak Bilse — znakomicie. — W antrakcie udałem się do bufetu i poprosiłem najuprzejmiéj o przekąskę.

— To rzecz markiera, odpowiedziało mi, na moję prośbę, jakieś sztywne indywiduum.

— Kiedy markiera nie mogę znaleść...

— To nie moja rzecz. Zresztą, powinieneś pan wiedzieć, że *do nas* mówi się tylko *po niemiecku!...*

Spojrzałem zdumiony — pokiwałem głową i — wyszedłem z Doliny.

Udałem się do *Tivoli*.

W Tivoli chciałem obejrzeć, tak zwany, salon *Wersalski*. Ale zaledwie wszedłem do niego — przystępuje do mnie jakaś ogromnie długa, wyfraczona postać i zapytuje się, czegobym tam śmiał żądać.

— Życzyłbym sobie obejrzeć ten pokój, odpowiedziałem.

— Nie można. Proszę wyjść...

— Dla czego innym wolno tu siedzieć?...

— Bo to jest... to — to należy do restauracyi.

— Więc mogę tu co zjeść?...

— Można, ale...

— Ale co?.. proszę o szklankę herbaty!

— Szklanka herbaty, to zamało. Nie dam.

— W takim razie daj mi pół porcyi befsztyku... Rozumiesz, pół porcyi befsztyku.... natychmiast!..

— Zaraz, jaśnie panie!

Zjadłem — zapłaciłem (za tytuł nie dałem ani grosza) i wyniosłem się — jeszcze smutniejszy, rzewniejszy, jeszcze więcéj zamyślony i nieswój, niż byłem na początku. — Szedłem ulicą Królewską, Krakowskiém-Przedmieściem, Nowym Światem — szedłem i dumałem o warszawskiéj służbie w miejscach publicznych, o jéj niedelikatności, zuchwalstwie, czelności i arogancyi — i przyszedłem do wniosku, że jest to klassa ludzi najbardziéj zepsuta — zdemoralizowana, a zepsuta i zdemoralizowana przez nas samych — przez publiczność. — Zresztą, wniosek to zdaje mi się nietylko już mój — i nawet niebardzo nowy...

Anim się spostrzegł kiedy się znalazłem w *Łazienkach*.

Usiadłszy na zielonym wzgórku, wśród rozkosznego cienia drzew — zadumałem się.

Cudnie było na bożym świecie. W powietrzu cisza — na ziemi pozorny spokój — a zdala tylko dolatywał mnie gwar Warszawy i turkot dorożek. Kiedyniekiedy wionął ciepły, miłosny wietrzyk, po młodych gałązkach — kiedyniekiedy całowały się w dreszczach zachwytu szmaragdowe listki topoli — kiedyniekiedy zaśpiewał gdzieś w gniazdku ptak jakąś zalecankę do lubéj samiczki—i więcéj nie było słychać nic, — nic—i więcéj nie było nikogo — tylko ja, cisza i moje marzenia.

Siedziałem tak długo — długo, z wzrokiem opartym na promieniach gwiazd, z myślą przebijającą nieskończoność...

Marzenia unosiły mnie po najciemniejszych tajniach — po całym wszechświecie.

Nagle — drgnąłem... Drgnąłem i spojrzałem przed się — niby przebudzony, niby na wpół senny. I ujrzałem naraz wszystkie drzewa i wszystkie listki trawy iskrzące się od pereł i brylantów.

I usłyszałem jakiś dziwny szept — o przyszłości.

Zdumiałem się. Począłem słuchać. Tak, była to mowa o przyszłości. Kto ją wydawał? — nie wiedziałem. Słyszałem ją przecież zewsząd — z góry i dołu, po bokach — dokoła mnie. Zniecierpliwiony, rzuciłem się naprzód, wyciągnąłem ręce i uchwyciłem jakąś przejrzystą, eteryczną postać, wydzierającą się z moich objęć, niby syrena z uścisków śmiertelnika. Nie była to jednak syrena.—Było to coś, coś podobnego do człowieka i do ducha z baśni ludowéj. Był to karzełek, jota w jotę taki sam, jakich Imć. pan Pasek widział mnóstwo w Danii, wychodzących z pod pieca, a opisanych wybornie w jego pamiętnikach.

— Co wy tam sobie gwarzycie? zapytałem, trzymając go za kołnierz i sadzając na kolanie.

— Puść mnie i nie przeszkadzaj nam.

— Hola, hola, mój mały, — nie tak to łatwo. Powiedz mi co ciekawego, a potém dopiero pomówimy o twojéj wolności.

— Cóż chcesz wiedzieć?

— Przedewszystkiem nie mów mi nic o mnie.

— Więc o czém? Może o miłości, o polityce, o literaturze?

— Dobrze, dobrze. Ale zacznij od literatury.

— Najtrudniejszy zrobiłeś wybór. W téj porze mówić o literaturze — to straszne zadanie. Posucha pod tym względem u was nie do wytrzymania. Nie wiem nawet dla czego— ha, może z gorąca — z kanikuły.

— No, to teraz, ale późniéj co będzie?

Późniéj, późniéj... Będziecie mieli więcéj dzienników i pism peryodycznych niż czytelników. Ale się tém nie przestraszaj. Plewy znikną a zostanie się zdrowe ziarno. Zresztą, na pocieszenie powiem ci że wychodzi w polskim języku dzieło p. t. *Wolnomularstwo i Jezuityzm*, przez A. Storcha i że już znajduje się w warszawskich księgarniach znakomita praca K. Darwina p. t. *Pochodzenie człowieka i wybór płciowy*.

— Przecie... Ale jak sądzisz, czy Darwin zaaklimatyzuje się u nas?

— Nie tak prędko, nie tak prędko!.. Brak wam jeszcze nauki.

— I cóż więcéj powiesz?

— Z literatury dziś nic więcéj, a resztę późniéj—późniéj—późniéj. Wydarł mi się i czmychnął.

Chciałem go gonić i — obudziłem się z marzenia.

Rosa pokryła drobnymi kryształami ziemię — wiatr począł się zrywać, ptastwo biło skrzydłami, jakby na trwogę, deszcz jak miecz na włosku wisiał na chmurach. — Nie było rady, — zabrałem się i wróciłem do domu, myśląc coby wam dziś napisać, coby wam podać nowego i nieznanego a przecież ciekawego i zajmującego. Miałem najlepsze chęci. — Myślałem więc, myślałem i—nic nie mogłem wymyśléć. Dla tego częstuję was obecnie tylko tém—czém chata bogata— co naprędce wśród nieznośnych upałów zdążyłem napisać.

Co się jednak odwlecze, to nie uciecze.

△

JÓZEF RYCHTER.

(Dokończenie)

Oto co pisze Meciszewski o naszym artyście, we wspomnioném dziele:

„Z drzewa takiego, jak p. Rychter, robieni bywają prawdziwi artyści. — Jeżeli biegłość w sztuce zrówna u niego kiedy talentowi, który jest kolosalnym, p. Rychter będzie artystą dramatycznym jakich w kraju naszym nie było wielu. — Występuje on na scenie naszéj we wszelkich rodzajach dramatu i w każdym jest na swojém miejscu, każdego rolę odgadnie, — każdéj roli charakter przyswoić sobie potrafi i tak przyswojonemu zadosyć uczyni. Zdaje mi się jednak, że przy obfitości środków, jakimi mu talent rozrządzać pozwala, — p. Rychter znalazłby daleko większą sposobność odznaczenia się w tragedyi aniżeli w komedyi. — Tragedya albowiem maluje nam najczęściéj tylko ideały, komedya zaś, jeżeli ma być dobra — portretować wyłącznie powinna. — O ileż więc łatwiéj jest być tłumaczem, kopistą, — aniżeli autorem, malarzem, poetą? — W sztukach Kotzebuego, mierny nawet artysta potrafi odegrać rolę i podobać się często może; — w dramatach jednak Szekspira, Lessinga, Szyllera, Wiktora Hugo i innych, w obrazach, jakimi zbogacili scenę Kornel i Rasyn — niewolno jest wystąpić artyście obdarzonemu miernym tylko talentem, — bo w dziełach tych autorów plastyczne rozmiary każdéj z osobna postaci są oznaczone tak ściśle i z taką precyzyą, że czyli im kto nie dopisze, czy je też przekroczy, uchybi niezawodnie szczególnym ich proporcyom, tém samém więc i piękność ogółu nadwyręży. — Zdaniem przeto mojém, — pan Rychter powinienby się oddać stanowczo rodzajowi dramatu, który wprawdzie talentowi jego odleglejszą zakreśla metę, lecz za to, otwierając przed nim obszerniejszą arenę, obiecuje mu tém samém daleko wyższéj wartości wieniec, choćby dla tego tylko, że jest rzadszy i trudniéj zapracowany, że wreszcie talentu takiego, jak ma pan Rychter, o wiele więcéj będzie godny. — W rolach: Komandora w *Lektorce*, Dobratyńskiego w *Matce rodu*, don Salustia w *Ruy Blasie*, i kilku innych, pan Rychter prawie nic nie zostawia do życzenia i dowodzi powołania swego do ról tragicznych, — w rolach znowu: Johna w *Pieniądzach*, Geldhaba, Jowialskiego, Reja z Nagłowic i t. p. niepodobna mu nie przyznać znakomitego komicznego talentu. — Co zaś w tém wszystkiém grę pana Rychtera szczególniéj zaleca, to to niezawodnie, że w każdéj roli, w jakiéj występuje, czy jest tragiczną, czy komiczną, — tworzy sobie zupełnie odrębny jéj charakter i przeobraża się w każdą osobę z taką prawdą i wiernością i z taką przytém rozmaitością, że w Jowialskim naprzykład nie ujrzy nikt ani jednego ruchu,—ani jednego akcentu mowy sir Johna,—a Komandor nie ma nic wspólnego z don Salustim. — Równym artystą pokazuje się pan Rychter i w maskowaniu się na scenie. — Oprócz twarzy zmienia mowę, ruch, spojrzenie i całą postać, i wprawia nieraz widzów w niemały kłopot, czyli uwierzyć że osoba na którą patrzą jest rzeczywiście panem Rychterem. — Pan Rychter powinien się kształcić, a przedewszystkiem szukać jak najlepszych wzorów, — nie w Krakowie, bo ich tu pewno nie znajdzie, lecz w świecie więcéj artystycznym, i jeśli tego zaniedba, jeśli poprzestanie na tém tylko stanowisku, na jakiém dzisiaj stoi, odpowiedzialnym będzie scenie za zmarnowanie talentu, jakim go tak hojnie uposażyła natura."

Przymiot dopatrzony przez Meciszewskiego w Rychterze, owa właśnie zdolność odtwarzania zarówno traicznych jak i komicznych charakterów,— jest naturą każdego wyższego talentu scenicznego.— Artysta dramatyczny przedstawia człowieka w wszystkich objawach ruchliwéj gry życia. — Życie jest wielką harmonią kontrastów. Posępne, jak niebo jesiennéj nocy, znowu pogodne błękitem majowego poranku, uśmiechnięte i łzawe, radosne i smutne, walk tytanicznych marmurowéj apatyi i cmentarnéj ciszy pełne, płynie bez końca, godząc i łącząc wszystko w majestatyczném oświetleniu słonecznych promieni, księżycowego blasku i łun pożarnych.—W tym o milionie obrazów kalejdoskopie, śmiech jest rodzonym bratem płaczu. — Wzniosłość i śmieszność chodzą ręka w rękę.

Natura ludzka nie zna podziałów. Jest jednolitą. Jedna namiętność, nawet w stopniu najwyższego rozwoju, nadaje tylko innym pewien odrębny koloryt, ale ich nie wyłącza. Uczucia śpiewają razem w piersi ludzkiéj, jak ptaki w jednym gniazdku. — Miłość wspiera się na zazdrości, a godzi z nienawiścią. — Litość i pogarda, zachwyt i oburzenie, to tylko różne tony jednego instrumentu. Instrumentem jest serce ludzkie.

Artysta dramatyczny powinien odczuwać wszystko, co tylko w życiu stanowi treść dla sztuki. — Falstaff jest dla niego równie typem jak Otello. — Im większy talent, tym więcéj naraz stron natury ludzkiéj pochwycić i uwydatnić potrafi. Najwięksi z aktorów, Garrick, Kean, Devrient, Davison, byli zarazem tragikami i komikami.

Rychter jest niezaprzeczenie talentem wyższym. — Obok szczęśliwych przymiotów zewnętrznych, twarzy wyrazistéj i ruchliwéj, oczu przenikających, głosu pełnego i dźwięcznego, posiada jeszcze zapał szczery i wierne odczucie postaci. W grze jego przebija się przeważnie żywioł refleksyi, obmyślenia ogólnego i głębokiego, — myśli jednolitéj i czynnéj, krążącéj we wszystkich scenach, jak krew we wszystkich żyłach.

Przytoczyliśmy zdanie Meciszewskiego, określające co talent Rychtera obiecywał. — Nam przychodzi zastanowić się o ile dotrzymał świetnych przyrzeczeń.

Pod tym względem przypatrując się dawniéj grze Rychtera, spokojnéj, równéj, — ujętéj w karby pewnéj stałéj rutyny, — zdawało nam się, że mamy przed sobą artystę skończonego, którego talent zamknął się w ściśle oznaczonych proporcyach, po za które przejść nie potrafi.

Dzisiejsze wystąpienia artysty w rolach gościnnych, a szczególniéj przedstawienia Schylocka i Skąpca Molierowskiego,—przekonały nas że jest inaczéj. Spotkaliśmy się znowu oko w oko z talentem młodzieńczym, — zapowiadającym przyszłość świetną, szukającym dróg nowych i zbrojnym w nowe siły.

Fakt ten nie zdziwił nas wcale. Wierzymy w jednego tylko Feniksa odradzającego się wiecznie z własnych popiołów. — Tym Feniksem ludzkości — jest talent.

Nie było to bezwątpienia wyłączną winą artysty — jeżeli zmuszony do odtwarzania postaci ułamkowych, pospolitych, niemal bezbarwnych, rozpraszał i marnował ciągle zasoby swego bogatego talentu. — Cały kapitał sztuki w nim zawarty rozpraszał się, grosz po groszu, na sztuki jałowe, na jałmużny dla ubogich duchem. — W obec takich warunków trudno sobie nawet wyobrazić surową pracę duchową artysty, — owo ciągłe przełamywanie trudności, zdobywanie nowych prawd i nowych środków, — pracę tak nieodzowną w zawodzie scenicznym. Role łatwe, na granie których ciągle był skazany, — odstręczały powoli Rychtera od sumiennych studiów nad sztuką i stanowiły ciągłą zaporę postępowi jego talentu.

Opuściwszy scenę naszą, w chwili kiedy na niej zaczęło się budzić nowe życie, Rychter uczuł, że jeszcze wiele pragnie i wiele może. W ciągu dwóch lat występował na przemiany w Poznaniu i Krakowie, odtwarzając po większéj części tak długo zaniedbane, a tak sympatyczne dla niego, kreacye Szekspirowskich i Szyllerowskich dramatów. Powróciwszy w roku bieżącym do kraju, zaangażowanym został na szereg gościnnych wystąpień, podczas letniego sezonu.

Dwie nowe role, odegrane w tym czasie przez Rychtera, zwróciły, jak to już wspomnieliśmy, przedewszystkiem naszą uwagę. Dostrzegliśmy mianowicie jeden jeszcze element talentu, który dotychczas w Rychterze uchodził naszego oka. — Chcemy mówić o natchnieniu chwili, — o tych momentach gry nieprzewidzianych przez widza, a porywających duszę jego odrazu i wszechwładnie. Takich wyskakujących z ogólnego tonu gry, a jednak artystycznie prawdziwych momentów,—w roli Harpagona—Rychter miał wiele.

Postać Schylocka — ożywił artysta zapałem tak wielkim — że go nawet w granicach artyzmu trudno utrzymać przyszło. — Były tam chwile wielkiego, tragicznego effektu, — ale znalazły się pomimo woli może artysty i takie, w których nadmiar puszczonego na wodze uczucia zasłaniał i zaciemniał ogólne tło charakteru.

W każdym razie, błędy nawet Rychtera, które zauważyć nam przyszło, wypływają nie z ubóstwa, — ale raczéj z nieuporządkowanych zasobów zbyt hojnie i bez rachunku szafowanego dotąd bogactwa. — Dla tych przyczyn, talentu artysty nie poważamy się jeszcze nazwać skończonym. — Potrzeba mu tylko, dla wzniesienia się na poziom, przez naturę jego oznaczony—skupienia sił wewnętrznych, pracy i odpowiedniego pola do rozwoju,—a szczęśliwe jakieś przeznaczenie mówi nam, — że polem tém — będzie jeszcze nasza scena.

Kazimierz Łuniewski.

„SĄ MATULA"

Kopia z obrazu Chełmońskiego.

Mamy przed sobą wdzięczny i pełen prostoty obrazek rodzajowy. — Krajobraz oddycha świeżością, niebo jasne, pogodne, białe obłoczki gonią jedne za drugimi, — wietrzyk drobny pochyla ku ziemi ciężkie zbożem kłosy. — Po lewéj stronie obrazu, na dalszym planie, ukazuje się szereg żniwiarzy pochylonych pracą. — Po prawéj, — dwoje dzieci wiejskich, brat i siostra, bawi się swobodnie na miedzy rozgraniczającéj łany zboża. Na twarzach tych dzieci maluje się szczęście bezwiedne, harmonizujące zupełnie z rozkoszą rozlaną w naturze. — Chłopiec starszy, wspinając się na palcach po nad kłosy, zapewne dla uchwycenia barwnego motyla, — spostrzega w oddali matkę żniwiarkę i o tym radosnym fakcie zawiadamia młodszą siostrzyczkę, — oczekującą na rezultat polowania. — Słowa „są matula" będące tytułem obrazu, zawisły wyraźnie na ustach chłopczyka. — Utwór nie potrzebuje podpisu, — tyle w nim prawdziwego i odpowiedniego do przedstawionéj chwili wyrazu.

Nad zaletami obrazu p. Chełmońskiego nie potrzebujemy się tu rozwodzić. — Zostały już dostatecznie uznane przez krytykę i publiczność. — Prostota kompozycyi, układ figur sympatyczny, traktowanie natury świadczące o głębokich studiach artysty, — życie rozlane na wszystkich szczegółach, — całość tchnąca rzewnością i wdziękiem, — oto przymioty przemawiające do każdéj duszy, która potrafi kochać i rozumieć sztukę.

DAWNY RATUSZ TRYBUNALSKI W PETROKOWIE.

W 1868 roku, rozebraną została z rozporządzenia władzy ruina starożytnéj budowy, — w któréj przez dwa wieki rozstrzygały się ludzkie spory, brzmiały głośne przywoływania i protestacye woźnych, zawzięte obrony i repliki palestrantów, ferowały się wyroki sądowe, oraz podpisywały ugody i komplanacye wiodących proces stron.

Budynek ten, wzniesionym został około 1580 roku, — w pośrodku obszernego rynku w Piotrkowie. — Był to gmach prosty, ale dosyć okazały, — ozdobiony wielkiemi oknami o kamiennych węgazach, a dachem wysokim, krytym dachówką.

W czasie wojen Szwedzkich, mocno zniszczony, ratusz Trybunalski został całkowicie wyrestaurowany, za staraniem Króla Stanisława Augusta w 1780 roku. — Po zwinięciu Trybunału Koronnego, znajdowało się w nim bióro regencyi czyli Kamery Pruskiéj, a w 1813 roku, podczas odwrotu wojsk Napoleona I-go, — rada Księstwa Warszawskiego przeniesiona do Piotrkowa, prawdopodobnie w tym gmachu obradowała. Od tego czasu, aż do rozebrania budowy, przechodziła one różne koleje, służąc za pomieszczenie dla rozmaitych władz rządowych. — W ostatnich latach, z powodu zupełnego zrujnowania piętra, parter tylko zajętym był na sklepy, przez handlujących starozakonnych. Podajemy rysunek budowy, zdjęty na kilka lat przed rozebraniem, jako ciekawy zabytek architektury przeszłości.

PRZEGLĄD LITERACKI.

MOGILNA.

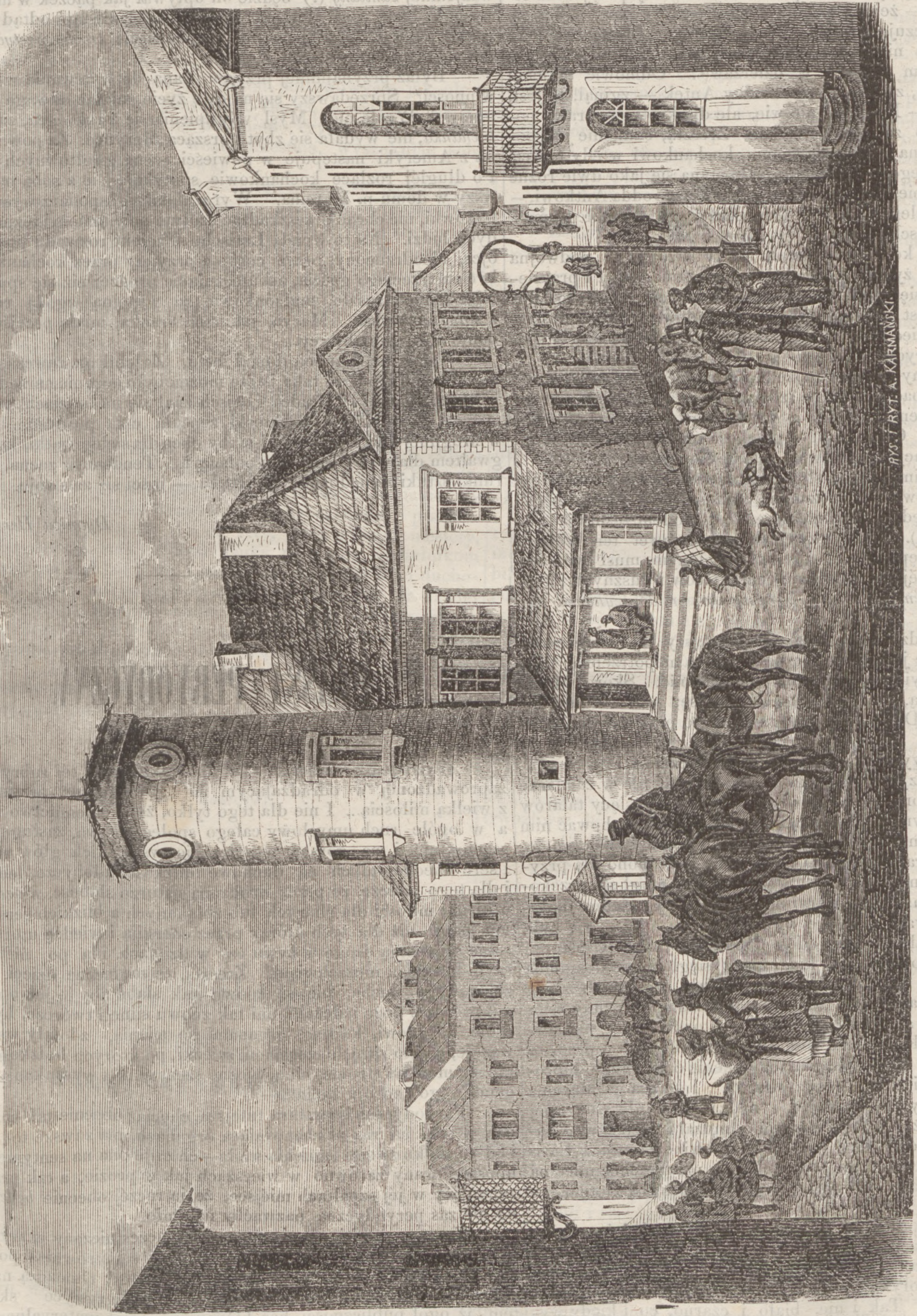
Obrazek spółczesny, przez J. I. Kraszewskiego.

(Dokończenie).

„Upadkowi (tych nieszczęśliwych Mogilskich) winien nie jestem;—jeśli nie my, ktoś inny byłby pochwycił ten smaczny kąsek. Nie mam sobie nic do wyrzucenia... Katastrofę być może iż przyspieszyłem, ale to dla nich raczéj dobrodziejstwo niż krzywda"... i t. d.

Najwybitniejszą stroną téj apologii jest powód dla którego została przedsięwziętą. Larischowi zanadto zbywa na szlachetności żeby mógł troszczyć się o szacunek syna, ale przywiązanie rodzica nakazuje mu dbać o dobro swego pokolenia. W tym a nie innym celu wykłada on Augustowi strategiją życia, podnosząc zepsucie do teoryi, chciwość do zasady, drapieżność do filozoficznego wniosku. Potworność charakteru Radcy zdaje się przekraczać granice prawdopodobieństwa, a jednak nie można powiedzieć żeby była wymarzoną. Natomiast zrobilibyśmy inny zarzut Kraszewskiemu. Larisch, jako winowajca, ukrywający przed surowością prawa swoje występki, przestaje być w oczach czytelnika groźnym doktrynerem, godnym uwagi sofistą. Nie jest on sprzymierzeńcem legalnego społeczeństwa, ani wytworem jawnie panoszącéj się złości, i z téj przyczyny nie może służyć za przeciwstawienie moralnym żywiołom, które wyobraża Mogilski. Skompromitowana osobistość Radcy odejmuje jego zasadom cechę *bezkarności*. Larisch działający otwarcie, bez naruszenia ustaw krajowych, bez obawy świadków, odpowiedzialny przed własném sumieniem tylko, a jednak nieuczciwy, spełniłby lepiéj rolę swoję w powieści niż Larisch kryminalista. To jedno a — jest jeszcze inna niedokładność. Ów przedstawiciel złowrogiéj praktyczności, dla którego finansowa matematyka była najwyższą nauką, ideałem i religiją, ów trzeźwy Larisch dopuszcza się grzechu urojenia, rachuje na fantastycznéj podstawie. Żeniąc się z Maryą, córką ubogiego szlachcica, liczy na to;

najprzód, że Witold Mogilski *prawdopodobnie* kocha Maryą;
powtóre, że kochając *może* mieć jéj wzajemność;
potrzecie, że pozyskawszy wzajemność *może* zapragnąć rozwodu;
poczwarte, że zapragnąwszy, *może* grubo zapłacić mężowi za przyzwolenie na rozwód;
nakoniec, że Marya zgodzi się na to.—



DAWNY RATUSZ TRYBUNALSKI W PETROKOWIE (str. 220).

To jest, Larisch nie liczył:
najprzód, że Witold kochając Maryą musiał mieć ważne powody nie przeszkadzać Larischowi, lub jéj naprawdę nie kochał;
powtóre, że miłość Witolda mogła nie być i nie była w istocie wzajemną;

potrzecie, że wychowanie a także względy towarzyskie i rodzinne mogły nie pozwolić Witoldowi pomyśleć o rozerwaniu małżeństwa, przeciw któremu we właściwéj porze nie oddziaływał.
poczwarte, że wszystkie okoliczności czyniły okup wątpliwym;
nakoniec, że cnota Maryi każe jéj pozostać wierną przysiędze, powinno było uniemożebnić każdą spekulacyą tego rodzaju. Niestało się tak; ale tém gorzéj dla powieści.
Cóż-że objaśnimy sobie arytmetyczną fantazyą Larischa?
Oto jedynym powodem: wadą powieściowéj intrygi.
Dowodzi tego postać Maryi.

Fałszywe położenie bohaterki wynika z układu powieści. Marya córka p. Marcina, ubogiego *gbura* (w podwójném znaczeniu wyrazu) oddaje rękę człowiekowi którego nie kocha i nie szanuje. Serce jéj należy do Antka, towarzysza lat dziecinnych, a do Larischa chyba wstręt tylko czuć może; ale *ulubiony* powędrował gdzieś daleko, za góry, za lasy, a *niemiły* mieszka w bogatym dworcu o miedzę — i choć możny pan, nie gardzi ubogim dziewczęciem. Maryi szkoda było Antka ale pomyślała sobie: a nuż nie wróci, a nuż zachorował i umarł? — nie czekać-że go do siwych włosów, kiedy nawet wiadomości o sobie nie daje. A tymczasem trafiają się ludzie — i to nie byle jacy. Sam p. radca handlowy przyjeżdża ledwie nie co dzień, — żenić się, mowi, choć dziś gotów. „Jestem stary — mówi, ale czuję w sobie siły do życia... „Jestem bogaty mógłbym jéj (żonie niby) przyszłość zapewnić... „Ojcu—mówi—chętnie wypuściłbym folwark w dzierżawę... Odmówić takiemu człowiekowi trudno, zwłaszcza że biedny Antek — zginął! to jest, czy istotnie zginął — Marynka nie wie, ale dla krótszéj sprawy postanowiła uważać go za nieboszczyka. Zresztą, sumienie jéj spokojne. Dochowa ona wiary dawnemu kochankowi wtedy nawet, gdy będzie żoną innego. Jéj duch i ciało staną się jako dwie różne dzielnice z których pierwszą a nieśmiertelną Marya odda Antkowi,— drugą zaś... marny zlepek gliny!... przeznaczy dla przyszłego małżonka. Eine alte geschichte!

Ten potworny koncept podziału istoty swojéj, ta podwójna buchhalterya serca i życia, to obłudne frymarczenie osobą i przysięgą swoją, tłumaczy się upadkiem godności kobiecéj. Wartość człowieka nieodłączną jest od jego czynów i poglądów. Marya źle czyni, źle myśli, — a więc zły ma charakter. Zacność bohaterki poświęconą została intrydze powieści.

Nie protestujemy przeciw możebności małżeńskiego targu, ale każdy podobny wypadek, ilekroć zdarzy się w życiu, jest niewątpliwym objawem niemoralności, a i w książce za co innego uchodzić nie powinien. Od zarzutu o płochość nie uwalnia Maryi ani jéj własna argumentacya, ani nawet wdanie się autora.

„Przyznać musimy (są to słowa Kraszewskiego), iż bohaterkę naszą ocenić, uniewinnić, zrozumieć *trudno. Pospolici ludzie (!) obwinią ją pewnie.* Będzie to na nieszczęście dowodem żeśmy jéj odmalować nie umieli (!). Każdy czyn człowieka, nawet ten którego pozory często są potępiające — aby był ocenionym, musi być zważonym na szali własnéj, na podstawie charakterów i dusznych intencyj. *Zli we wszystkiém złe widzą, bo wszystko im do czynienia tego złego posługuje.*"

Obrona niebardzo szczęśliwa. Pominąwszy jéj niezręczność, wskażemy tylko o ile jest nieskuteczną a nawet niepotrzebną. Nieusprawiedliwia Maryi a zaciemnia opowiadanie. Skoro Marya chce pozostać uczciwą, powinna odtrącić pokusę; jeśli ulegnie, będzie nieszlachetną. Dla dobra utworu należało przyznać się do téj konsenkwencyi.

Plan powieści wytwarza także inną konieczność i nasuwa inny wniosek na niekorzyść bohaterki. Larisch żeni się w zamiarze odstąpienia kiedyś żony kochankowi za kilkanaście tysięcy talarów a p. radca jest wytrawnym afferzystą,który ściśle musi rachować nim podejmie się ryzykownéj spekulacyi. Musi być przeświadczonym, że kobieta którą wybrał zgodzi się na to żeby ją kupiono dla przyjemności a odprzedano dla zysku. Jakżeż o tém mógł się przekonać? Oczywiście, że zaślubiny Maryi urzeczywistniając jedną połowę jego projektu dawały nadzieję powodzenia drugiéj. Nie była to jeszcze pewność ale dość prawdopodobna rękojmia. U ustopni ołtarza, gdzie dwoje obojętnych ludzi zaprzysięgło sobie dozgonną miłość, przebiegłość pana młodego tryumfuje, a żaden zbieg okoliczności, żadne tragiczne fatum nie zmniejsza winy panny młodéj. Połączyła się ze starym bogaczem, o którym ojciec jéj dawniéj już zawyrokował: „łajdak jest i po wszystkiem," a przecież miała dość rozsądku i wykształcenia żeby ocenić całą ohydę dobrowolnego zaprzedania się i krzywoprzysięstwa. Interesa p. Marcina już wtedy poprawiały się znacznie i nędza nie mogła służyć jéj za wymówkę. Napróżno ksiądz Grzywa odradzał małżeństwo, napróżno p. Marcin, chociaż mu pochlebiało powinowactwo z Larischem, oświadczył córce że „nic nie radzi, bo nic nie chce mieć na sumieniu," Marya uparła się wypić „cykutę zaprawną złotem" — i wypiła.

Poważna w pozorach, a płocha w treści, posiadająca niby gruntowne przekonania, a w ciągłéj z niemi niezgodzie, bohaterka powieści rzuca słowa na wiatr, a przez życie idzie jak lunatyczka. W jéj głowie, jak w norymbergskim sklepie, skupiły się najróżnorodniejsze materyały. Tak i nie, biało i czarno, co i kiedy wygodniéj. Niedawno chwaliła się przed Mogilskimi że bieda jéj nie cięży, że wychowanie nauczyło ją znosić odważnie niedolę, że dość jest silną i zdrową żeby pracować, że praca ręką nie przeszkadza pracy umysłowéj i t. d. i t. d. a po oświadczeniu się Larischa: Jestém ubogą sierotą,mówiła do Witolda,—jakaż mogła być przyszłość moja? Życie jest ciągłą *zamianą*, nieustanném *kupnem i sprzedażą*. Bogaci w ogrodach swoich hodują owoce na własne stoły, my ubodzy musimy najpiękniéjsze oddawać — za kawałek chleba.

Marynka nazywa kawałkiem chleba — wielki majątek! Apetyt nielada. Oprócz tego, idąc za mąż za Larischa usiłuje ona przekonać siebie i innych że robi to jedynie dla dobrobytu p. Marcina. Nich wie stary że ma wspaniałomyślną córkę. Dzięki warunkom wzajemnéj *zamiany (!)* będzie on opływał jak pączek w maśle, a na wydatki łożyć musi Larisch. Kieszeń zięcia zastąpi odtąd obowiązki córki, a dla takiéj ulgi „godzi się poświęcić *trochę pustych* marzeń" jak się otwarcie wyraziła Marya.

Byłaż przynajmniéj przygotowaną do wytrwania w nowéj powinności? Sprzedawszy się na całe życie, miałaż odwagę dotrzymać umowy? Wcale nie. Myśl wykupienia się z rąk *męża*, za pieniądze *kochanka*, nie wydała się zbyt gorszącą Marynce. Za powrotem Antka z Ameryki następuje w powieści scena gwałtownych wzruszeń. Po długiéj rozłące kochankowie spotykają się z sobą po raz pierwszy w domu p. Marcina. Wyrozumiały gospodarz wysuwa się do bokówki, nie chcąc przeszkadzać czułym powitaniom i rozmowie młodych ludzi. Na to wpada Larisch. Projekt rozwodu podany przez ojca, nieodrzucony przez córkę a przyjęty przez kochanka, z przybyciem trzeciego gościa, uskuteczniasię prędzéj niż się spodziewano. Nim słońce zaszło, małżonkowie za wspólną zgodą rozstali się z sobą na zawsze. Marya, jak istna branka, miała przejść w posiadanie nowego nabywcy...

Tak więc, Larisch dopiął celu. Zgłębił on zawczasu charakter Maryi i zgadł że taką istotę można było uczynić narzędziem niecnéj kombinacyi. P. radca Larisch znał się na ludziach!..

Ale osobistość bohaterki zepsuła całą powieść. Widzimy w Mogilnéj dwa zawikłane i jakby obce dla siebie wątki, które autor gwałtem dla wspólnego celu połączył. Tendencya zacna, lecz warunki sztuki zaniedbane. A sztuka — mści się za swoje.

Dyonizy Henkiel.

PRASSA PERYODYCZNA.

Wyznajemy szczerze, że do traktowania téj rubryki świeżo zaprowadzonéj w odradzającym się „Opiekuuie" przystępujemy z wielką miłością... I nie dla tego tylko, że piśmiennictwo krajowe, a w ogóle ruch umysłowy całego społeczeństwa, zasługują na poszanowanie i na gorące współczucie wszystkich głów myślących i serc nieobojętnych na duchowe ludzkości zdobycze, lecz... może i dla tego jeszcze, że przez wrodzoną naturze słabość, więcéj zawsze czujemy miłości dla chorych lub zbłąkanych a blizkich sercu naszemu istot, niż dla tych którzy przez energiją i wiedzę utorowawszy sobie samoistną drogę w życiu czy w dziejach, idą po niéj stanowczym krokiem, niezachwiani. Zresztą, te serdeczne dzieci naszego zbiorowego ducha, nie są znowu tak słabe aby je już opuścić na miłosierdzie boże należało, ani tak znowu silne i twórcze, by i same sobie i ogółowi, którego organami się mienią, zdołały wskazać te wązkie, często zarosłe cierniami, ścieżki, po których ludzkość wdzierać się musi na strome, niebotyczne szczyty, dla wyszukania tam legendowego „zdroju życia".—

Peryodyczna literatura tutejsza, chociaż obecnie tak rozmnożona i w tylu na raz przemawiająca organach, ma zawsze tęż samą co i od początku swego istnienia wadę—choruje ona na sentymentalizm, upostaciowany zarówno w wierszach jak w prozie, a tak przeważne zajmujący w jéj szpaltach miéjsce, że ją raczéj obecnie *belletrystyczną* nie zaś peryodyczną, nazwaćby należało.

Krytycy tutejsi, sami najczęściéj uczestniczący w wydawnictwie tego lub owego pisma, a nie rzadko i sami również popierający wierszem i prozą sentymentalne grzechy, tłumaczą nam taką radykalną prassy warszawskiéj ku belletrystyce skłonność tém, iż ogół publiczności, bez którego poparcia materyalnego organa téj prassy istnieć by nie mogły, głównie a nawet jedynie prawie czyta obecnie same tylko powieści i wierszowane koncepcye,

a przeto koniecznością, choćby wstrętną nawet, jest podawać massie czytelników te na inny sposób przyprawiane potrawki, od których mała tylko liczba, poważniéj myślących, odwraca usta. Przyjmując, z pewném zastrzeżeniem tę eksplikacyą, mniemamy, że jest jeszcze inny powód wpływający stanowczo na taką a nie inną dążność pism tutejszych. Leży on niewątpliwie w niedostatku gruntownego wykształcenia, którego brakuje zarówno piszącym jak ich czytelnikom—tak, że pierwsi z nich często sami nie widzą kierunku któryby w moralnym pochodzie drugim wskazać powinni, drudzy zaś, nie mogąc wśród połyskliwych, jak plewy na słońcu, frazesów, dojrzeć pożywnego ziarna, a wstydząc się wyznać tego, by ich o brak pojęcia nie obwiniono, czytają to co im z łaski wydawców spadnie lub czytać wcale przestają, wyszukując sobie natomiast innéj dla umysłu rozrywki!

Nie jesteśmy w szakże nieprzyjaciołmi literatury nadobnéj ani też zaprzeczamy jéj miejsca w szpaltach pism peryodycznych; owszem, niech i te piękne, lecz tylko z niwy ducha wyrastające kwiaty, roznoszą woń przyjemną i odświeżają serca, ale niech obok nich rosną też zdrowe ziółka nauki, umiejętności i krytyki, ażeby od zapachu tego uroczego fantazyi kwiecia, nie rozemdlały zbytecznie wrażliwe imaginacye młodzieży i tak już dziś zdenerwowanéj z gruntu.

Wiele też, a nawet wszystko zależy od sposobu traktowania poważniejszych przedmiotów w szpaltach pism peryodycznych, jak również i od wyboru drukujących się tam nadobnego piśmiennictwa płodów. Uczone wywody w oschłéj, specyalistom tylko przystępnéj formie, lub nudne, z amfatyczném niby namaszczeniem prawione morały, wygnane z pism takich być powinny, jak również ckliwe elukubracye, owe w rymy i wiersz gładki przystrojone lamenty, lub szpikowe pochopy romansistów, w których zawsze jednakie ody na cześć *Halin, Kalin, Malin* i zawsze też same narracye o przebiegu wzajemnych sentymentów dwóch serc, dość głupich niestety, przeważną odgrywają rolę. Niech nauka podawana czytelnikom w tych pismach ma wykład jasny i oświetlony blaskiem tego duchowego poglądu, który wszystkie umysłowe prace ludzkie na każdéj pojęte drodze brata i jednoczy; niech umiejętności roztwierają się przed oczami chcących je poznać czytelników, tak szeroko i jasno, aby pod ich powierzchnią widać było nietylko pożytek, lecz i piękno razem.—A powieści.... niech wsiąkają w siebie wszystko co tylko, bądź z ruchu umysłowego, bądź z działań ludzkich, bądź z ich uczuć, wad i cierpień, może obudzić zajęcie lub za naukę i przykład posłużyć.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULJI KAVANAGH.

TOM I.

(*Dalszy ciąg*).

Miss Glyn wstrząsła gniewnie wstążkami swego czepeczka i szyła daléj.

— Ale tylko młode — dodał Smith.

Miss Glyn obracała igłą zawzięcie, uśmiechając się wzgardliwie. — Nie dbała wcale o liczbę swych lat.

— Tam stare panny wcale nie noszą cielistych wstążek — gadał daléj Smith.

Miss Glyn położyła robotę i spojrzała z oburzeniem. Nazwano ją „starą panną“ w domu jéj przyrodniego brata.

— Panie Kennedy — rzekła, wstając zwolna, — towarzystwo jakie u siebie przyjmujesz wcale mi nie odpowiada. Nie dziw się więc, że dłużéj nie pozostanę w tym domu.

— Panie Smith, musisz miss przeprosić, — stanowczo powiedział Kennedy.

— Tego nie zrobię, — odpowiedział ostro p. Smith. — Dla czego przypatruje mi się w sposób tak obrażający.?

— Nie przyjmuję żadnych przeprosin — spokojnie odpowiedziała miss Glyn, zwijając robotę. — Nie żądam ich; ale uważam towarzystwo pańskie za niestosowne dla mnie, panie Kennedy.

Odeszła poważnym krokiem, nie słuchając idącéj za nią Sybilli, która ją chciała uspokoić. P. Kennedy także z tłumaczeniami szedł za nią, ale napróżno. P. Smith pozostał, gryząc paznogcie i wytrzeszczając swoje czarne, ponure oczy na panią Mush.

— Ona szalona, wie pani, powiedział po chwili, i wygłosiwszy tę wyrocznię, odszedł także.

Żadne prosby ani argumenty nie mogły zmienić postanowienia miss Glyn.

— Nie gniewam się na ciebie panie Kennedy, — rzekła wspaniałomyślnie; — ale jeżeli musisz przyjmować takich głupich i źle wychowanych ludzi, ja nie potrzebuję przymuszać się do ich towarzystwa.

— Maryo, Smith cię przeprosi — zaczął Kennedy; ale miss Glyn przerwała:

— Nie przypuszczaj iżbym była tak niedorzeczna i wymagała przeprosin od tego stworzenia; nie, nie, ja dziwię się tylko iż trzymasz go przy sobie. Przypuszczając nawet żeś mu winien pieniądze, czemu go nie zapłacisz i nie pozbędziesz się z domu? jeżeli zaś tego nie możesz, to i tak nie potrzebujesz go tu trzymać; możesz go żywić, ale w przyzwoitéj odległości.

Jeżeli miss Glyn oczekiwała zaprzeczenia lub zatwierdzenia tych uwag, to omyliła się w nadziei. Kennedy zimno wynurzył żal iż nie może jéj namówić do zostania i odszedł. Łzy i prosby Sybilli okazały się również bezskuteczne. Miss Glyn zasiadła w swym pokoju czekając na pojazd, wachlując się chustką od nosa i oświadczając, iż jest zupełnie chłodną, spokojną i wcale nierozgniewaną. Nie może tylko znosić impertynencyi Smitha.

Gdy po długiém oczekiwaniu nadjechał pojazd, na którego sprowadzenie Narcyz potrzebował dwie godzin czasu, miss Glyn pożegnała pana Kennedy z godnością ambasadora, opuszczającego stolicę przed wypowiedzeniem wojny między dwoma mocarstwami i w prawdziwie grzecznym, dyplomatycznym języku upewniała swego przyrodniego brata, że jéj uczucia względem niego w niczém nie będą naruszone. Kennedy grzecznie jéj wysłuchał, pożegnał, ale nie nalegał o obietnicę rychłego powrotu. Sybilla zauważyła to i rzekła trwożliwie do ojca, gdy pojazd jéj ciotki ruszył z przed domu:

— Ciotka obiecała powrócić.

— Tym lepiéj moja droga, spokojnie odpowiedział Kennedy.

Takim sposobem Smith rzeczywiście wygnał miss Glyn, a pani Mush pozostała panią domu, nie robiąc żadnych w tym celu usiłowań.

— Ten obrzydły człowiek chyba nigdy sobie nie odjedzie, — myślała Sybilla. Lecz omyliła się; a jego sposób oddalenia się jeszcze ją bardziéj zadziwił, niż przybycie.

ROZDZIAŁ IV.

— Pani Mush, odkryłam kto jest Smith, rzekła popędliwie Sybilla.

Pani Mush siedziała wygodnie w ogrodzie, przeglądając gazetę i roskoszując się pięknością i świeżością poranku. Obróciła się na słowa Sybilli i rzekła obojętnie.

— Doprawdy?

Sybillę ubodła ta spokojność pani Mush, trzymająca ją w większém oddaleniu niż sztywność miss Glyn. Gniew można zwalczać lub łagodzić, ale trudno owładnąć obojętnością — szczególniéj tą, która opiera się na rozsądku. Może być iż w głębi duszy pani Mush była równie żądną objaśnienia téj zagadki, ale pani Mush podobały się w tej chwili różne inne rzeczy. Saint-Vincent, pan téj posiadłości i Sybilla. Podobała jéj się myśl, że nareszcie znalazła przytułek. Była bowiem ubogą i przez ostatnie piętnaście lat bawiła ciągle u swoich przyjaciół. Wszystkie więc te zjednoczone pobudki nakazywały jéj milczenie i dyskrecyą, czyniące ją bardzo dogodną Kennedemu. Sybilli wprawdzie nie podobała się

taka wstrzemięźliwość, ale w obecnéj chwili chęć podzielenia się swojém odkryciem, przemogła nad obrazą.

— Tak, — rzekła tryumfująco.—Wiem kto jest pan Smith,— to jest starzec z morza.

— Kto ci takie rzeczy do głowy kładzie, panno Sybillo? zapytał głos ostry, tuż po za nią.

Sybilla pomięszana obróciła się i ujrzała długą, wysmukłą postać Smitha, wynurzającą się z po za wysokich krzaków.

— Zdaje mi się, że młode panny mają każdego za starca, — rzekł wesoło — ale cóż ja mam wspólnego z morzem?

— Oh, nic, tak sobie plotłam, panie Smith.

— Tak, rzekł pan Smith, odchodząc, — ja myślę że panny żyją pleceniem. Sybillę zawstydziła taka nauczka. Postanowiła sobie być przy obiedzie bardzo poważną z panem Smith i trzymać go zdaleka, raz na zawsze. Nie potrzebowała tego wcale. Smith nie pokazał się na obiad. Szukano go w jego pokoju, we młynie, na polach, w całym Saint-Vincent, ale Smith zniknął. Kennedy zdawał się mocno zakłopotany, szczególniéj,gdy okazało się że nie było i torby podróżnéj. Ale nic nie mówił. Następnego rana, gdy Sybilla zeszła na dół na śniadanie, dowiedziała się od pani Mush, iż ojciec jéj o piątéj rano opuścił dom, nie powiedziawszy gdzie się udaje, ani kiedy powróci.

— Ale trzech panów ma przybyć dziś na obiad! krzyknęła Sybilla z niedowierzeniem.

— Posłał do nich z przeproszeniem, — odpowiedziała pani Mush.

— Ten obrzydły Smith winien wszystkiemu, rzekła Sybilla z oburzeniem.

— Zdaje mi się że breftryger idzie — rzekła pani Mush, wyjrzawszy z okna jadalni, wychodzącego na ganek.

Sybilla wyskoczyła, zapomniawszy o panu Smith i doznanych niesmakach; spodziewała się bowiem wiadomości od Blanki Cains. Wybiegła z pokoju i za chwilę była już na ganku. Pani Mush patrząc za nią z okna widziała jak porwała list z ręki breftrygera, zawróciła się i radośnie podnosząc papier w górę, znikła w ogrodzie.

— Szczęśliwa prostota — pomyślała pani Mush, z uśmiechem i westhnieniem.

I Sybilla była szczęśliwa. Kochała gorąco, serdecznie, a listy od przyjaciółki były w jéj młodym żywocie ważnemi wydarzeniami. Nie mogła ich czytać przy kimkolwiekbądź, wiedząc, że wszyscy, tak jak i pani Mush, śmieli się z jéj wygórowanych uczuć dla Blanki Cains. Nie dbała o to, ale zawsze przyjemniéj jéj było czytać saméj i unikać sceptycznych spojrzeń. Zdaleka od ogrodu i opactwa wyszukała więc sobie samotne, wygodne zacisze, obrosły darniną parów, zasłoniony od północy drzewami, które wiatr morski pogiął i pokręcił od młodości; na zachód zaś rozciągał się jak oko zasięgało szeroki, szklisty ocean. Tu Sybilla często chodziła ze swymi smutkami i radościami, tu teraz prawie bez tchu pobiegła i zbijącém sercem odczytała list swéj przyjaciółki. Miss Cains, jakkolwiek przedmiot romantycznéj przyjaźni, wcale nie była romantyczną panną, i nigdy nie pisywała romantycznych listów. List jéj brzmiał tak:

„Droga Sybillo! Nie zabawię cię długiém pisaniem. Jestem nieszczęśliwa, oto wszystko, a Miss Blunt dręczy mnie nielitościwie. Czasem życie mi się przykrzy, a czasem ślubuję sobie że i wytrzymam. Piszesz śliczniuchne listy, ale ja nie mam na to czasu. Powtarzam ci, że życie mi się przykrzy, to coś gorszego, niż bezczelne spojrzenia pana Smith. Czemu nie skłonisz pana Kennedy żeby go się pozbył, — jabym to zrobiła. Widzę że nie list piszę, ale bilecik. Przerwano mi już *siedm* razy, i muszę przestać. Chciałabym mieć korab‘ jak gołąbka Noego, ale wpadłam w tę okropną samotnię pani Blunt i muszę znosić swój los. Do widzenia. Niech cię Bóg błogosławi, moja najdroższa, a pisz mi często. Twoje listy są dla mnie jedyną pociechą. Twoja, Blanka Cains.”

Miss Cains pisała dużym, wprawnym charakterem, a kilka powyższych wierszy zajmowały cztery stronnice listowego papieru.

— Biedna, kochana Blanka! — myślała Sybilla z wezbranem sercem, muszę prosić ojca żeby mi dozwolił ją tu sprowadzić. Prawie mi to już obiecał, tylko nie mogę jéj oddać pokoju ciotki. Umieszczę ją w zielonym pokoju, obok mojego. Przygotuję go zaraz, a gdy ojciec powróci napiszę i poproszę jéj żeby porzuciła zupełnie Miss Blunt. Jak oni tam mogą źle się z nią obchodzić!—

Lecz na cóż się zdały te plany! Sybilla przygotowała zielony pokój, a tymczasem upływały dnie, nawet tygodnie, a Kennedy ani wracał, ani pisał nawet. Sybilla zapomniała o kłopotach swojéj przyjaciółki, czując sama troskę i smutek. Przekonana była że ojciec albo zachorował, albo był w złych interesach, i że ów p. Smith był powodem tego wszystkiego. Wynurzyła swoje domniemania pani Mush, ale ta śmiała się z nich. Nie uspokoiło to Sybilli, bo podejrzywała iż śmiech pani Mush nie jest szczery. — Coś się wydarzyło a pani Mush wie otém — myślała Sybilla. Fakt drobny sam z siebie utwierdził ją w tém podejrzeniu.

Od czasu do czasu pani Mush otrzymywała irlandzką gazetę. Z początku dawała ją Sybilli do czytania, ale nagle zaprzestała tego. Gdy Sybilla prosiła jéj o pozwolenie gazety, odpowiedziała zimno:

— Moja droga, gazety piszą nie dla młodych panien.

Odpowiedź taka byłaby bardzo naturalna w ustach Miss Glyn, wzoru przyzwoitości, ale dziwnie brzmiała w ustach pani Mush, która w swéj swobodzie zwykła była mawiać, iż „przyzwoitość wymyślili nieprzyzwoici ludzie”. Sybilla więc nie wierzyła.

Co więcéj, wywnioskowała, iż w tych gazetach było coś co mocno dotyczyło interesów czy zamiarów ojca, a co on z miłości wielkiéj i dobroci, starał się kryć przed nią. Słysząc więc wymijające odpowiedzi pani Mush i jéj szczególne postępowanie, co raz bardziéj upewniała się w powziętych obawach, drżąc w obec niewiadomego nieszczęścia, gorszego niż wyraźna i pewna jaka katastrofa. Żądała od pani Mush pociechy, ale ta zaprzeczyła wszelkim przypuszczeniom Sybilli, zachowując uporczywą wesołość.

— Głupstwo, moja droga, — rzekła do niéj pewnego popołudnia, gdy Sybilla przyszła do jéj pokoju z wynurzeniami swego smutku i domysłu, że Smith zadał jakąś śmiertelną krzywdę jéj ojcu — głupstwo. Czy chcesz zapaść w trawiącę gorączkę nim twój ojciec powróci?

— Ja tego dłużéj nie zniosę; nie mogę taką być jak pani, prawie niegrzecznie odpowiedziała Sybilla. — Zdaje mi się że pani nigdy nie jesteś smutną, — dodała z wyrzutem.

— Smutną! wykrzyknęła mistress Mush z rozpromienioną twarzą i serdecznie wesołym śmiechem. — Nigdy! Tak cenię życie iż nie myślę z niém się kłócić. Kocham je i używam go. Ze wszystkich niegodziwości samobójstwo wydaje mi się najgorszém. To jest jakiś rodzaj rozpusty. Nie lubiłam nigdy „Poranków na Cmentarzu,“ ani „Elegij Gracyana“ ani nic podobnego.

— Przecież musimy umierać! — westchnęła Sybilla, kiwając młodą główką.

— Właśnie, dla tego też żyjmy. Śmierć nas nie minie, więc używajmy żywota, powtarzam. Zdaje mi się iż życie jest szlachetną rzeczą — wyborną, i chcę się niém cieszyć. Lubię być czynną, ożywioną, jeść i pić. — Ciebie to razi; młode panny nie jedzą i nie piją; lubię i spać i sny mieć piękne. Wogóle, życie to piękny wynalazek!

— O, i ja czasem tak czuję, rzekła Sybilla, z powagą;— ale wiesz pani, życie pełne jest rozczarowań.

— Poczekaj aż będziesz miała ze czterdzieści pięć lat, moja droga, wtedy je bardziéj polubisz, odpowiedziała wesoło pani Mush.

Czterdzieści pięć lat! Otwarta twarz Sybilli wyrażała niezdolność wyobrażenia sobie tak odległego okresu życia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Do dzisiejszego Nr. **Opiekuna Domowego**, dołącza się dla wszystkich prenumeratorów „Kalendarz“ ścienny na II-gie półrocze 1871 r.

Wydawczyni, KAZIMIERA MOSCH. Дозволено Цензурою. 28 Іюня (10 Іюля) 1871 г.— Redaktor FRANCISZEK GUMOWSKI.

W Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. *b*.